Pan Bonrard

Całe życie nie opuszczało mnie przekonanie, że jestem kiepskim żartem Matki Natury. Nogi krzywe, lewa dłuższa, prawa krótsza. Zez rozbieżny i braki w uzębieniu czyniły ze mnie kreaturę tyle pokraczną, co zjawiskową – że o przestrzeni, w której powinno znajdować się moje lewe ucho przez grzeczność nie wspomnę.

Kiedy miałem jedenaście lat i zacząłem zdawać sobie z tego sprawę, postanowiłem nie męczyć się więcej, tylko poprosić pana Bonrard, jak sądzę jedynego człowieka, który mógłby tego dokonać, aby przywrócił mi wygląd człowieczy.

Przez jedenaście lat pan Bonrard nie rozmawiał z mną ani razu. Siedział w moim pokoju w kącie, czytał książki i palił papierosa za papierosem. Czasem przesiadał się na parapet i dyndając nogami w bardzo irytujący sposób, strzepywał popiół gdzie popadło, zupełnie nie zwracając uwagi na zgubne skutki palenia przy dzieciach. Przyglądał mi się przy tym jakby z niedowierzaniem, jak takie coś jest w stanie w miarę samodzielnie egzystować. Kiedy próbowałem z nim porozmawiać, prychał z pogardą, wypuszczając z siebie kłęby niebieskawego dymu wprost na moją twarz, co powodowało, że okropnie się krztusiłem. Jednak pomimo jego ekscentrycznego i dziwacznego zachowania, uznawałem go za przyjaciela, głównie z tego powodu, że nikogo innego nie miałem.

Powiedziałem więc do matki:

- Mamo, dziś napiszę list do pana Bonrard, żeby zrobił coś z moim paskudnym wyglądem.

Matka zdawała się przez jedenaście lat nie zauważyć, że wydała na świat człowieka mocno odbiegającego od powszechnie przyjętych norm wizualnych. Popatrzyła na mnie ze zdziwieniem. Dziwiła się tak bardzo, że jej oczy przypominały teraz duże monety, które ktoś jej tam na siłę wepchał, jakby w ogóle nie służyły do patrzenia, tylko do czegoś zgoła zupełnie innego, jednak nie mogłem się domyślić, do czego. Zawsze tak wyglądała, kiedy wspominałem o panu Bonrard. Bardzo się nie lubili, nie

lubili się do tego stopnia, że matka pozbawiła go fundamentalnego prawa do istnienia.

- Do jakiego pana Bonrard? – zapytała, choć doskonale wiedziała, o kim mowa.

- Do pana Bonrard, który siedzi na parapecie, podkrada nam jedzenie z lodówki i czyta twojego Becketta. I pali papierosy, mnóstwo papierosów.

- Nie ma nikogo takiego – ucięła krótko, a potem po matczynemu zapytała, czy odrobiłem lekcje, zupełnie nie zauważając powagi sytuacji.

A ja poszedłem do swojego pokoju i otworzyłem okno, żeby wywietrzyć kłęby dymu, jakie wypuszczał z siebie mój współlokator. Spojrzałem na niego, a on swoim zwyczajem prychnął i odwrócił wzrok w stronę ulicy. Siadłem więc za biurkiem chwyciłem długopis w drżącą z podniecenia dłoń, kontemplując chwilę tę pierwszą w moim życiu okazję do nawiązania kontaktu z panem Bonrard.

Szanowny Panie Bonrard,

Tak zacząłem, a potem siedziałem dobre dwadzieścia minut, zastanawiając się, co by tu napisać. Nie muszę chyba dodawać, że litery, jakie stawiały moje koślawe dłonie nie były najpiękniejsze. Postanowiłem jednak się tym nie przejmować, pan Bonrard był na tyle oczytany (podkradał mamie nie tylko Becketta, ale również Dostojewskiego, Bułhakowa i inne książki - ostatecznie coś trzeba robić, żeby nie umrzeć z nudów przez jedenaście lat), że powinien bez problemu poradzić sobie z moimi bazgrołami. Skupiłem się więc jak mogłem i napisałem, co następuje:

Szanowny Panie Bonrard,

Muszę Panu powiedzieć, że mama w Pana nie wierzy. Ja jednak uważam, że pan jest, a to chyba dużo, twierdzić, wbrew wszystkim przesłankom, że ktoś istnieje. W każdym razie, mam do Pana prośbę,

mimo, że chyba nie za bardzo mnie Pan lubi, mianowicie taką, żeby przywrócił mi Pan normalny, ludzki wygląd. Szczerze mówiąc odrobinę brakuje mi mojego lewego ucha i krzywe nogi są niemałym utrudnieniem w życiu codziennym. Więc proszę, aby Pan coś z tym zrobił.

Z wyrazami szacunku,
Teodor

Patrzyłem w list przez jakiś czas, zastanawiając się, czy nie urazi on mojego przyjaciela, jednak nie doszukałem się w nim nic złego. Złożyłem starannie kartkę na pół, włożyłem ją do koperty i zakleiłem. Znaczka nie przyklejałem, bo Poczta Polska i tak nie miała z tą korespondencją nic wspólnego. Wyszedłem przed dom, stanąłem na chwilę, kontemplując tę pierwszą w moim życiu okazję nawiązania kontaktu z panem Bonrard, po czym wrzuciłem list do skrzynki i poszedłem na obiad.

Następnego dnia, z samego rana, obudziłem się z wyglądem w dalszym ciągu odbiegającym od wszystkiego. Pobiegłem do skrzynki. W skrzynce znajdował się list, który wrzuciłem tam poprzedniego dnia przed obiadem, nic innego natomiast tam nie było.

Pomyślałem więc, że może jeszcze nie przeczytał. Wyciągnąłem list ze skrzynki i pobiegłem na górę, do swojego pokoju, chcąc wręczyć go Panu Bonrard osobiście. Stanąłem zdyszany wbieganiem po stromych schodach przed drzwiami i położyłem rękę na klamce. Bałem się jego reakcji. Wszedłem do pokoju.

Po raz pierwszy od jedenastu lat pana Bonrard w nim nie było.

Zbiegłem więc po schodach do kuchni.

- Mamo, pan Bonrard zniknął!

- Tak, synku, tak… zaraz będzie śniadanie – odparła, kompletnie nie wzruszona powagą sytuacji.

- Nie chcę śniadania! Chcę się widzieć z panem Bonrard!

- Tak synku… - mama przykucnęła przy mnie i pogładziła mnie po głowie – wiesz, będziesz miał dzisiaj gościa.

- Jakiego gościa? – zapytałem. Interesowali mnie goście, zwłaszcza, jeśli to byli MOI goście.

- Pamiętasz doktora Rokickiego? Przyjdzie z tobą porozmawiać.

- O panu Bonrard?

- Tak, o nim. – odparła – powiesz mu wszystko dokładnie, co i jak. A na razie się nie przejmuj. Zjedz śniadanie.

Matka zawsze potrafiła mnie uspokoić, więc zjadłem, co miałem zjeść, schowałem list do kieszeni spodni i poszedłem do swojego pokoju. Mojego przyjaciela wciąż w nim nie było.

***

Doktor Rokicki przyszedł dokładnie o wpół do drugiej i zapukał do drzwi mojego pokoju. Zachęcony przez gromkie „proszę” wszedł i zamknął za sobą drzwi. Był przystojnym, na oko czterdziestoletnim mężczyzną o przyjaznym wyrazie twarzy i godnych zaufania oczach.

- Dzień dobry, Teodorze – zaczął, a ja odpowiedziałem mu miło dzień dobry, bo może gamoniem to byłem, ale wychowanym.

- Chciałbym z tobą porozmawiać – powiedział łagodnie.

- O panu Bonrard? – zapytałem.

- Tak, o nim. Kim jest pan Bonrard?

- Och, panie doktorze, to mój przyjaciel. Jest strasznym gburem, rozumie pan. Nie odezwał się do mnie ani razu, a teraz jeszcze do tego zniknął. Zniknął, panie doktorze. Zupełnie bez zapowiedzi, bez jakiejkolwiek przyczyny, nie przeczytał mojego listu. Po prostu wstał i wyszedł.

- Zniknął? Kiedy to było? – zdziwił się doktor.

- Dziś rano. Kiedy wychodziłem z pokoju, odpalał papierosa, a ja poszedłem do skrzynki, żeby zobaczyć, czy przeczytał. Napisałem do niego list, bo pomyślałem, że skoro ze mną nie rozmawia, to może chociaż odpisze mi na list. Ale nie przeczytał go, więc wziąłem go ze skrzynki i

chciałem mu go przekazać do rąk własnych, ale już go nie było – wyciągnąłem z kieszeni pomiętą kopertę i wręczyłem mu. Doktor Rokicki przeglądał list uważnie, wykonując przy tym od czasu do czasu „yhm, yhm”. Nie wiadomo, dlaczego lekarze tak robią. Oddał mi kopertę.

- Chciałbyś pójść do szkoły? – zapytał znienacka.

- Wie pan, doktorze, do szkoły to bym chciał, ale najpierw pan Bondard musiałby spełnić moją prośbę. Wie pan, w szkole są dziewczyny. Trochę tak głupio im się pokazywać bez ucha i będąc, co tu dużo mówić, nieco odrobinę pokrzywionym.

- Myślę, że pan Bondard nie spełni twojej prośby, ponieważ zniknął. I myślę, że więcej się już nie pojawi. Poza tym, nie wygląd jest w człowieku najważniejszy, pamiętaj o tym, Teodorze. A teraz, jeśli pozwolisz, chciałbym porozmawiać z twoją mamą.

Takim oto banałem podsumował mnie doktor Rokicki, a że nie miałem nic przeciwko jego wyjściu, wyszedł. Trzeba mu jednak przyznać, że zrobił to ze znacznie większą klasą niż pan Bonrard.

Oprócz wyglądu miałem do siebie jeszcze parę zastrzeżeń. W zasadzie nic mi nie wychodziło. Czego się dotknąłem, zaraz było źle, popsułem, zgubiłem albo jakieś inne dziwne i złe rzeczy działy się dzięki mojej interwencji. Tak, byłem gamoniem, i to gamoniem kompletnym, zupełnym. Jako, że nie chodziłem do szkoły (a powinienem być już w czwartej klasie), uczyła mnie panna Filcowa, nauczycielka z pobliskiej podstawówki. Nie przepadałem za nią, bo była stara i pachniała dziwnie. Coś pomiędzy starymi gazetami a kocim moczem. Nie był to zapach przyjemny.

O ile matematyka szła mi tragicznie, to z przyrodą i językiem polskim radziłem sobie świetnie (nie tylko pan Bondard podkradał mamie książki). Panna Filcowa wolała jednak, abym zajął się raczej matematyką, i to był kolejny powód, dla którego jej nie znosiłem. Nie znosiłem cyferek, znaków równości, minusów, plusów i tym podobnych pierdół. To było dla mnie niepojęte.

Dlatego też zadecydowałem, że pomimo mojego odbiegającego od wszelkich odgórnie ustalonych przez społeczeństwo norm wyglądu, pójdę do szkoły. Poza tym, nie było już pana Bondard.

I wyglądało na to, że nie wróci.

Tydzień przed moimi dwunastymi urodzinami postanowiłem napisać do niego jeszcze jeden list, z nadzieją, że może jednak wyszedł tylko na te parę miesięcy i przyjdzie odebrać list ze skrzynki. Siadłem znów wygodnie za biurkiem i napisałem, co następuje:

Szanowny Panie Bonrard,

Muszę Panu powiedzieć, że sprawił mi Pan wielką przykrość tym swoim nagłym zniknięciem. Nie tylko nie pomógł mi Pan w sprawie, o którą Pana prosiłem, ale jeszcze przyprawił mnie Pan o pokojową samotność. Może nie był Pan zbyt miły, ale zawsze dobrze jest mieć kogoś do towarzystwa, nawet tak gburowatego jak Pan.

Jeśli zdecyduje się Pan wrócić, nie pójdę do szkoły. Mama powiedziała, że nie będzie nalegać i to, czy do niej pójdę czy nie, jest tylko moją decyzją. Więc ja Panu pozostawiam taką samą wolność wyboru. Czy zdecyduje się Pan wrócić, czy nie, to jest Pańska decyzja.

Liczę na szybką odpowiedź z Pana strony.

PS. Za tydzień mam dwunaste urodziny. Jestem już prawie dorosły, więc jeśli Pan nie wróci, nie będę narzekał. Może po prostu nie jest mi już Pan potrzebny.

Z wyrazami szacunku,
Teodor

Wrzuciłem list do skrzynki.

Następnego dnia rano już go tam nie było.

Pan Bondard nie pojawił się ani następnego dnia, ani w ogóle. Postanowiłem przestać o nim myśleć i gdy tylko nadszedł dzień moich dwunastych urodzin, powiedziałem do matki:

- Mamo, zadecydowałem, że jednak pójdę do szkoły.

- W porządku – odparła tylko. Chyba się ucieszyła.

Z radością matki zawsze jest różnie. Nie wiadomo, czym ją uradować. Nie wiadomo w ogóle, czy się cieszy, czy tylko udaje, żeby nie robić dziecku przykrości. W każdym razie byłem już prawie dorosły i podjąłem taką a nie inną decyzję i mama to szanowała, a nawet jeśli nie szanowała, to starała się sprawiać takie wrażenie.

„Bycie matką musi być ciężkim zajęciem”, pomyślałem.

Jakoś przeżyłem ten dzień i położyłem się spać.

A potem śniły mi się sale lekcyjne pomalowane na piękny żółto – pomarańczowy kolor, nowa pani nauczycielka, która pachniała znacznie ładniej niż stara panna Filcowa (zdaje się, że był to zapach fiołków) oraz śliczna dziewczyna o długich blond włosach. Na przerwie grałem z chłopakami w bule, uśmiechając się do nich. A oni uśmiechali się do mnie. A potem w tym śnie, na samym środku szkolnego dziedzińca pojawił się pan Bonrard i zaczął się ze mnie śmiać. W ślad za nim poszły wszystkie dzieci oraz owa śliczna dziewczyna. Na koniec postawiono mnie do kąta, pan Bonrard ściągnął spodnie i wypiął w moją stroną pośladki, śmiejąc się przy tym do rozpuku.

Obudziłem się zlany potem. Gdy się trochę uspokoiłem, zapaliłem nocną lampkę, siadłem za biurkiem i wyciągnąłem kartkę, na której napisałem:

Szanowny Panie Bonrard,

Teraz to mnie pan zdenerwował. Mam nadzieję więcej Pana nie oglądać.

Bez wyrazów szacunku,

Teodor

PS. Dziewczynę mógł Pan zostawić w spokoju.

Podarłem list. Byłem bardzo zły.

Pierwszego dnia mojej obecności w szkole, w klasie czwartej A, siedząc w sali lekcyjnej o ścianach koloru obrzydliwie łososiowego, pojąłem, że wcale nie jest to takie przyjemne miejsce, jak mi się zawczasu zadawało. Pani nauczycielka nie pachniała wcale ładnie, w zasadzie to w ogóle nie pachniała, jej pachnienie było jakoś mocno nieobecne. A wyobrażałem sobie, że będzie roznosić koło siebie fiołkowy zapach. Nigdzie nie było ślicznej dziewczyny o długich blond włosach i zacząłem się obawiać, że przyśniła mi się tylko, zupełnie jak pan Bonrard, którego nie chciałem już więcej, w przeciwieństwie do dziewczyny, widzieć na oczy. Chłopcy patrzyli na mnie spod byka i wcale się nie uśmiechali.

Pomyślałem sobie, że ho ho, co ja tu robię. Tak sobie pomyślałem. A potem nie myślałem już nic, tylko zastanawiałem się, czy do klasy wejdzie śliczna dziewczyna o długich blond włosach i promienistym uśmiechu. Ale nie weszła, co spowodowało spadek mojego poczucia bycia na właściwym miejscu we właściwym czasie o jakieś tysiąc osiemset procent, a trzeba zauważyć, że w momencie mojego wejścia do klasy to poczucie miało już wartość mocno ujemną.

Pierwsza była matematyka. Pani Julia (bo tak miała na imię nauczycielka) wypisywała na tablicy jakieś brednie, których za Chiny Ludowe nie chciało mi się czytać, ale skrzętnie przepisywałem je do zeszytu. A zeszyt miałem ładny, gładki, kupiony przez mamę od starego pana Janusza, który miał sklep papierniczy koło szkoły. Ale mniejsza o to. Potem była przyroda, która interesowała mnie znacznie bardziej. Ale nie będę się na ten temat rozpisywał, bo ani to ciekawe, ani rozsądne.

Potem dowiedziałem się, że w szkole występuję taki przypadek lekcji nieformalnej, jak godzina wychowawcza. Zupełnie mnie to zaskoczyło, zwłaszcza gdy pani Julia po przerwie (podczas której nie

wychodziłem z klasy, obawiając się pojawienia pana Bonrard), powiedziała:

- Kochane dzieci, mamy od dziś w klasie nowego kolegę. Teodorze, wyjdź na środek klasy i przedstaw się wszystkim.

Zbiło mnie to z tropu, ale wstałem i kuśtykając wyszedłem przed tablicę. Stałem tak chwilę, po czym wydukałem:

- Nazywam się Teodor.

I wtedy w sali wybuchł gromki śmiech. Śmiali się wszyscy, za wyjątkiem pani nauczycielki, która skarciła klasę.

- To nieładnie śmiać się tak z czyjegoś imienia. – powiedziała – Co innego z braku ucha i krzywych nóg – zachichotała, po czym zaczęła śmiać się do rozpuku. Śmiała się tak, że aż musiała się położyć na ziemi. Dzieci śmiały się również, ale mało mnie to obchodziło.

- Gamoń, gamoń! – krzyczały, a ja spuściłem wzrok i uśmiechnąłem się nieśmiało pod nosem, bo co niby innego miałem zrobić.

Wybiegłem z klasy, zostawiając w niej swój nowy tornister, ładny, gładki zeszyt i długopis, całkiem nowy. Zdaje się, że zapomniałem też kanapek. Postanowiłem więcej nie wracać do szkoły, bo dzieci były niemiłe, pani Julia nie pachniała wcale fiołkami, ślicznej dziewczyny o długich blond włosach nie było, a ja byłem tam zupełnie nie na swoim miejscu.

Postanowiłem więc więcej nie pojawiać się w szkole i zacząć być kimś ważnym. Wiedziałem, że w tym celu muszę napisać jeszcze jeden list do pana Bonrard, ale nie byłem pewien, jak na to zareaguje, zwłaszcza, że poprzednia moja do niego korespondencja była daleka od uprzejmej. Skupiając się, jak tylko potrafiłem, na ładniejszej kaligrafii i stylistyce listu, siadłem znów wieczorem za swoim biurkiem i zacząłem pisać.

Szanowny Panie Bonrard,

Wiem, że mój poprzedni list mógł Pana obrazić. Naprawdę, nie było to moim zamiarem. Po prostu zdenerwowałem się na Pana za to, że

pokazał mi Pan gołą dupę. Musi Pan przyznać, że nie było to zbyt miłe z Pana strony, ale spokojnie, przyzwyczaiłem się już, że jest Pan niekulturalny.

Cóż, nie pozostaje mi zatem nic innego, jak przeprosić Pana za ten głupi list, w którym mnie poniosło.

Ale piszę do Pana w zupełnie innej sprawie. Jako, że nie spełnił Pan mojej ostatniej prośby o nadanie mi w miarę ludzkiego wyglądu, chciałbym zapytać, czy chociaż mógłby mnie Pan zrobić człowiekiem, z którego nie będzie kpiła ludzkość i któremu wszystko będzie wychodzić.

Bo niech Pan sobie wyobrazi – czego się nie dotknę, zaraz popsuję. Przy śniadaniu zawsze wylewam na siebie herbatę i mama ma potem dużo prania. Jeszcze się nie zdarzyło, żebym nie wylał. Proszę sobie wyobrazić, że poszedłem do szkoły (z racji tego, że jednak się Pan nie pojawił) i w tej szkole zostałem – delikatnie mówiąc – obśmiany. Szanowny Panie, nawet moja nauczycielka, pani Julia tarzała się ze śmiechu, patrząc na moje braki anatomiczne, poczynając od lewego ucha, a kończąc na tej części lewej nogi, która nie wiedzieć czemu, nie tyle, że zaginęła, co nigdy jej nie było.

Więc bardzo Pana proszę o to, żeby coś Pan z tym zrobił.

Naprawdę liczę na odpowiedź.

Z wyrazami szacunku,

Teodor

PS. List włożyłem do „Mistrza i Małgorzaty” Bułhakowa. Gdy przyjdzie Pan podwędzić tę książkę, na pewno go Pan przeczyta.

Jak napisałem, tak też zrobiłem. Zgiąłem starannie kartkę w pół i drżącymi dłońmi wyciągnąłem z pomiędzy książek „Mistrza i Małgorzatę”. List włożyłem pomiędzy okładką, a pierwszą stroną, żeby Pan Bonrard łatwo mógł go znaleźć.

Kiedy obudziłem się następnego dnia, zdziwiłem się bardzo.

Przestrzeń, w której powinno znajdować się moje lewe ucho wypełniona była nie czym innym, jak tylko moim lewym uchem. Pomacałem je dokładnie, po czym uszczypnąłem się w policzek, żeby wykluczyć z całą pewnością, że nie śpię. Nie spałem. Sprawdziłem fakt istnienia ucha po raz drugi. Pomyślałem, że skoro jakimś przypadkowym cudem mam lewe ucho, z całą pewnością pozbawiono mnie prawego. Dotknąłem przestrzeni, w której powinno znajdować się moje prawe ucho i w skołatanym umyśle odnotowałem fakt istnienia również prawego ucha.

Zerwałem się na równe nogi. Ot, właśnie – na równe nogi. Spojrzałem dokładnie najpierw na nogę lewą, następnie na prawą, potem znów na lewą. Czynność tę powtórzyłem kilkakrotnie.

Na równe nogi.

To było coś.

Zbiegłem na tych równych nogach po schodach do kuchni.

- Mamo, popatrz! – wykrzyknąłem – Pan Bonrard mnie posłuchał! Już nie wyglądam tak paskudnie!

Matka spojrzała na mnie z ogromnym zdziwieniem.

- Dobrze się czujesz, Teodor? – wydukała.

- Znakomicie! Popatrz – pokazałem jej z dumą moje lewe ucho.

Monety w oczach matki jakby się powiększyły.

- I…? Na co mam patrzeć?

- Na moje ucho! Mam ucho!

- Czy ty aby, dziecko, nie masz gorączki? – zapytała z troską w głosie.

- Nie mam gorączki! Mam ucho! I równe nogi! – podskoczyłem kilkakrotnie do góry, żeby potwierdzić równość moich nóg.

Ten dziwny dźwięk, jaki się wówczas wydobył, był odgłosem spadającego na kafelki talerza, który uprzednio dzierżyła w dłoni moja własna matka.

Teraz ja popatrzyłem na nią ze zdziwieniem. Odwróciłem się na mojej ślicznej, równej lewej nodze i pobiegłem do pokoju. Książka „Mistrz i Małgorzata” wystawała jakieś dwa centymetry ponad inne. Z

niecierpliwością wyciągnąłem ją z półki i zacząłem przetrzepywać, wertować i robić jeszcze różne inne rzeczy, których zwykle nie robi się z książkami.

W końcu wypadła z niej biała, zaklejona koperta. Otworzyłem ją drżącymi dłońmi i wyciągnąłem białą kartkę formatu A4, na której z jednej strony zapisane było drobnym pismem:

Szanowny Panie Teodorze,

Pan Bondard, jak go Pan nazwał, nie mógł Panu odpisać z dwóch powodów. Pierwszy jest taki, że Pan Bondard jest francuzem i ni w ząb nie zna polskiego. Drugi natomiast jest taki, że został zawieszony w pełnionych obowiązkach, z racji tego, że dopatrzyliśmy się licznych uchybień względem Pańskiej osoby.

Brak lewego ucha i inne anomalia anatomiczne, których był Pan ofiarą wynikały z faktu zaniedbania przez pana Bonrard (jak go Pan nazwał) swoich obowiązków od momentu Pańskiego poczęcia, tj. dnia trzydziestego sierpnia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego ósmego roku.

Pan Bonrard nie raportował nam niczego od początku swojej służby, stąd ten bałagan.

Wszelkie problemy, zaistniałe z tego powodu, zostały przez nas anulowane, a Pańskie prośby, które kierował Pan do pana Bonrard, zostały rozpatrzone pozytywnie i wcielone w życie.

Pragniemy również poinformować, że miejsce wyżej wymienionego zajmie od dziś, tj. od dnia dwunastego września ktoś zdecydowanie bardziej kompetentny.

Jednocześnie przepraszamy za dwunastoletnie opóźnienie z podjęciem jakichkolwiek działań w tym kierunku.

Z wyrazami szacunku,
Przewodniczący Komisji

PS. Proszę pamiętać, że anulowanie zaistniałych w wyniku niekompetencji pana Bonrard szkód ciągnie za sobą fakt, że Pańskie dotychczasowe życie nie zostało zapamiętane przez Pańskich bliskich w takiej samej formie, jak zapamiętał je Pan. I odwrotnie. Mamy nadzieję, że jakoś da Pan sobie z tym radę.

PS 2. Pan Bonrard nie pokazał Panu gołej dupy. Przyśniło się Panu.

***

Wystający dwa i pół centymetra ponad inne kawałek trzysta czterdziestej trzeciej – licząc od strony Rynku – płytki chodnikowej, przerwał krok idącego właśnie ulicą Krakowską chłopca w wieku lat około dwunastu. Organizm, znajdując się przedtem w stanie jako takiego spoczynku, zareagował poprawnie, aczkolwiek nerwowo – otrzymawszy od mózgu informację o nagłej i niespodziewanej zmianie pozycji z pionowej w półpoziomą, dążącą do całkiem poziomej, spiął natychmiast wszystkie członki ciała w pozycji gotowej do przyjęcia kilku zadrapań. Umysł natomiast – z racji rozważniejszego przez właściciela użytkowania, zachował się niepomiernie gorzej, mianowicie nie uczynił absolutnie nic. Odmowa współpracy z organizmem nastąpiła samoczynnie i zupełnie nieświadomie.

Ciało grzmotnęło o ziemię.

Kiedy podniosłem wzrok, stał nade mną pan Bonrard.

- Widzisz – powiedział, całkiem po polsku – gdybyś dalej miał prawą nogę krótszą, to byś się nie wypierdolił.

Potem zniknął, a ja nigdy więcej już go nie zobaczyłem.

O Katarzynie